



Lew w New Delhi

Duszący żar New Delhi!... Rozpalone słońcem chodniki, gorące święte krowy o leniwych ruchach i upał buchający od blaszanych dachów!... Ogniecie soczysty smak dojrzałego ananasa, który jest słodki w najbardziej zmysłowy i poruszający sposób!...

Oblizalam usta.

– Słucham? – powtórzyła stewardesa z dziwnym wyrazem twarzy.

– Ja nic nie mówiłam – zapewniłam ją, choć prawdę mówiąc, nie byłam tego całkowicie pewna.

Zdaje się, że moja wyobraźnia przyśpieszyła lądowanie w New Delhi, po którym we śnie właśnie się przed chwilą przechadzałam.

– Ma pani zapięte pasy?

– Oczywiście!



Rozpalone słońcem chodniki,
gorące święte krowy,
ogniście soczysty smak
dojrzałego ananasa!...



– Za pół godziny będziemy na miejscu.

Paszport, wiza, pieczętka imigracyjna i wymiana uśmiechów z celnikiem.

– *Thank you very much!*

Jeszcze jeden ostatni korytarz, jeszcze tłum oczekujących z nazwiskami pasażerów na teksturkach albo eleganckich zafoliowanych kartkach. Jeszcze tylko jedne, ostatnie drzwi i...

Syberia!!! Zatrzymałam się w pół kroku, z niedowierzaniem rozglądając się dookoła, jak gdyby to, co smagało mnie lodowatym podmuchem po gołych łydkach, nie było wiatrem, tylko głupim dowcipem ze strony złośliwego tubylca.

Zadrzałam. Czym prędzej sięgnęłam po grubą polar. Zapięłam się aż po szyję, schowałam dłonie w rękawy. I rozejrzałam się jeszcze raz.

Gdzie to żarliwe piekło indyjskiego upału?... No gdzie?... Zatrzęsłam się od przenikliwego zimna wilgotnego powietrza, które oblepiało skórę jak lodowaty kompres. Latem światowe agencje pisały o rekordowych temperaturach w północnych Indiach, gdzie było nawet pięćdziesiąt stopni Celsjusza! Wysychały rzeki, stawy i jeziora, i nawet ptaki umierały z odwodnienia.

– *Taxi?* – kierowca zatrzymał się i zatrąbił.

– *Taxi, yes!* – zawołałam z ulgą, ale mimo antarktycznego klimatu nie wsiadłam od razu do samochodu. – Do centrum New Delhi? – zapytałam, zawieszając głos.



Na lotniskach kierowcy
taksówek oferują swoje usługi,
zawyżając opłatę za przejazd
nawet dziesięciokrotnie



– *Yes, yes, we go!*¹ – zapewnił mnie kierowca, kiwając stanowczo głową.

Roześmiałam się. Na wszystkich lotniskach świata taksówkarze próbują tej samej sztuczki, licząc na naiwność turystów, która często idzie w parze ze zmęczeniem po długim locie, niewyspaniem i poczuciem zagubienia w nowym miejscu. W Sao Paulo, Meksyku, Caracas, Nairobi, Kuala Lumpur, Bangkoku czy Warszawie tuż za szklanymi drzwiami czekają kierowcy, którzy z kamienną twarzą, okraszoną czasem cieniem zachęcającego uśmiechu, proponują swoje usługi, zawyżając opłatę za przejazd nawet dziesięciokrotnie.

Najśmieszniejsze z mojej dzisiejszej perspektywy wydaje mi się to, że najbardziej oszukał mnie kiedyś taksówkarz w Warszawie. Było to bardzo dawno temu, kiedy jako nastolatka przyjechałam pociągiem do stolicy i musiałam się dostać w pobliże królewskich Łazienek. Musiałam pojechać taksówką, bo pociąg miał opóźnienie. Zapłaciłam za ten kurs niewyobrażalną ilość pieniędzy, ale doskonale pamiętam wyraz twarzy kierowcy, kiedy po dojechaniu do celu zatrzymał się, odwrócił do mnie i powiedział:

– Sześćset złotych.

Zapadło wielkie, ciężkie milczenie. Zrozumiałam, że coś jest nie tak, ale głos taksówkarza brzmiał tak, jakby dla niego była to sprawa życia i śmierci.

¹ *Yes, yes, we go!* – (ang.) Tak, tak, jedziemy!

– Nie mam tyle – odpowiedziałam bezradnie.

Mieszkałam wtedy w Koszalinie, a do Warszawy przyjechałam chyba po raz drugi w życiu.

– A ile masz? – zapytał kierowca.

Oddałam mu prawie wszystko, a potem powłócząc nogami ruszyłam dalej przed siebie. To jest miasto dla bardzo bogatych ludzi – pomyślałam.

Gdyby sądzić po stawkach proponowanych przez taksówkarzy, to wszystkie stolice świata okazałyby się niedostępne dla zwykłych ludzi. Na szczęście szybko się zorientowałam na czym polega ta gra i nie dawałam się w nią wciągać, z nielicznymi wyjątkami w Ameryce Południowej, kiedy odkryłam, że taksówkarze potrafią także przestawiać liczniki tak, żeby nabijały należność co dziesięć metrów zamiast co kilometr. Kiedyś w stolicy Paragwaju jechałam taką taksówką, która... O przepraszam, wracam do Indii.

Kierowca uśmiechnął się zachęcająco, błyskając białymi zębami w śniadej twarzy.

– *We go, we go* – ponaglił. – Jedźmy, jedźmy.

– *Yes, we go* – odrzekłam, przytrzymując drzwi. – Ale ile to będzie kosztowało?

– Do centrum?... – powtórzył, rozglądając się po desce rozdzielczej. – No, to będzie jakies... Rzucił mi szybkie spojrzenie i dokończył z przekonaniem: – Tysiąc rupii.

Znowu się roześmiałam. Niektórzy taksówkarze na lotnisku zachowują się jak lew wśród stada głuchych i ślepych zebr na sawannie. Nadchodzą z niezmałym przekonaniem, że na pewno uda się kogoś upolować. Wystarczy tylko odpowiednio nastroszyć grzywę i udawać niezachwianą pewnością siebie. I bez wahania podawać najwyższe kwoty podsuwane przez swobodną wyobraźnię.

W takiej sytuacji są dwa wyjścia: albo zrezygnować z tej taksówki, albo znać realia, wiedzieć ile taki kurs powinien kosztować i taką kwotę przeciwstawić. Ja wybrałam tę drugą opcję.

– Zapłacę dwieście rupii – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy.

Kierowca poruszył się niespokojnie. Byłam tak samo pewnym siebie lwem jak on.

– Dwieście?... – pokręcił głową i sapnął, usiłując zyskać na czasie.

– Dwieście to dobra cena – oświadczyłam, kładąc znaczącym gestem rękę na plecaku.

– Dwieście pięćdziesiąt! – rzucił taksówkarz.

– Zgoda – odrzekłam, bo tyle właśnie dokładnie powinien kosztować kurs do centrum New Delhi.

Wymieniliśmy spojrzenia jak lew z lwem, wrzuciłam plecak do środka i odjechaliśmy.



Indie są zwierciadłem świata
jest tu wszystko. Wielka bieda
i równie wielkie bogactwo.
Najlepsza kuchnia
i śmierć z głodu



W dżungli miasta

Indie są zwierciadłem świata. Jest tu wszystko. Wielka bieda i wielkie bogactwo. Niezwykłe uduchowanie i równie niezwykle cuchnący mur, pod którym załatwiają się przechodnie. Największy pałac prezydencki świata i największe slumsy. Najlepsza kuchnia i niedożywione dzieci. Wszystko jest w Indiach jak w pigułce będącej lustrzanym odbiciem reszty świata.

Stałam i patrzyłam. Potem usiadłam na schodach i patrzyłam dalej, bo wydawało mi się, że w tym pozornie chaotycznym miejscu, gdzie kłębią się ludzie, riksze, samochody, rowery, wielbłądy, święte krowy, słonie, ciężarówki, autobusy i motory, istnieje jakaś równowaga i kierująca nim harmonia. Agresja, hałas, kurz, klaksony, tumany czarnych spalin nie mogą ist-

Na świecie są
biegacze i filozofowie



Biegacze nieornie się
śpieszą i pędzą do celu

A filozofowie siedzą
To stan lewitacji
ponad pędzącą neuryzmością



nieć w oderwaniu od tego, co stanowi ich przeciwieństwo, tak jak ciemność nie może trwać bez światła, bo dopiero ono sprawia, że ciemność staje się ciemnością.

Siedziałam więc na betonowych schodach przy sklepie i patrzyłam. Bez analizowania, bez logicznego składania elementów w jakąś całość, bez dedukcji i świadomego poszukiwania rozwiązania.

I nagle dostrzegłam, że połowa ludzi wiecznie się śpieszy, a pozostali siedzą i czekają.

Istnieją biegacze i filozofowie.

Biegacze nieustannie zmierzają naprzód, wsiadają do autobusów, wysiadają na przystankach, maszerują przez jezdnie, pokonują kilometry chodników, przemieszczają się za pomocą ryczących aut i dudniących motocykli, pedałuują na rowerach, ścigają się z riksami, mają jakieś zadanie do spełnienia i zmierzają do określonego celu.

A filozofowie siedzą na ulicach w kucki ze spokojnym, beznamiętnym wyrazem twarzy. Są zawieszeni w czasie. Nie czekają na nic konkretnego, nie planują, nie zamierzają, nie oczekują na spełnienie jakiegokolwiek przepowiedni czy obietnicy. Tylko trwają tuż ponad zgiełkiem indyjskiej ulicy w dziwnej przestrzeni, która zatrzymuje upływ czasu i bieg spraw – i milczą w zadumie bez myśli, bez marzeń, bez nadziei. To jest stan lewitacji życia ponad pędzącą rzeczywistością.

Tylko ludzie w Indiach to potrafią.

W tym samym czasie inni wolą biec przed siebie. Ale jest to bieg i pośpiech tak samo pozbawiony możliwości dotarcia do celu, który w znaczący sposób miałby wpływ na resztę życia. Po prostu niektórzy zamiast siedzieć spokojnie – biegną.

A ci, którzy siedzą – czekają.

I żaden nie osiąga mety.

Ja jako podróżnik mogę być zarówno biegaczem, jak i filozofem, bo jestem częścią tak różnych światów, że wydają się nie należeć na zawsze do żadnego z nich.

Wstałam. Ruszyłam przed siebie. I natychmiast się zatrzymałam.

Indyjska ulica jest jak rzeka. Fala pojazdów i wierzchowców płynie nieprzerwanym strumieniem, napędzanym wyciem klaksonów i trąbek oraz mruganiem świateł. Nikt nie używa kierunkowskazów. Nikt też nie krzyczy. Jazda polega na tym, żeby wymusić pierwszeństwo za pomocą hałasu, wyrazu twarzy i wpychania się w każdy wolny centymetr przestrzeni.

Wiele samochodów nie ma bocznych lusterek, bo kierowcy zawczasu je usunęli, żeby bardziej płynnie móc się zmieścić między innymi użytkownikami drogi.



Ja jako podróżnik mogę być
zarówno biegaczem, jak i
filozofem, bo jestem częścią
różnych światów i nie
moleję na ransze do
żadnego z nich



Podeszłam do krawężnika, usiłując znaleźć dobry moment. Riksha, motor, taksówka rycząca klaksonem, świeży obłok czarnych spalin, który buchnął wprost w moją twarz. Zakręciło mi się w głowie. Brązowa krowa. Kierowcy stłoczeni dookoła niej, z zaskakującą cierpliwością czekający aż krowa lekko podrzucając łbem ruszy dalej w dowolnie wybranym przez siebie kierunku. Szaleństwo, ścisk i hałas. Tłok taki, że między samochody nie da się wcisnąć szpilki, a co dopiero przechodnia, który chciałby zaryzykować przechodzenie na drugą stronę. Ryk klaksonów. Warkot silników. Sapanie gorących rur wydechowych. I równie gorące usta wielbłąda ciągnącego drewniany wózek wyładowany aż po niebo okrągłymi belkami.

Przyczaiłam się jak skoczek, wyczekując na odpowiedni moment, żeby rzucić się sprintem do drugiego krawężnika. Ale przede mną sunęła nieprzerwana, ciasna, rzężąca metalem i buchająca spalinami kawalkada przepychających się pojazdów. Niekończąca się rzeka indyjskich pojazdów mechanicznych i napędzanych własnymi mięśniami.

Dziesięć minut, piętnaście, dwadzieścia. Nie ma żadnej, nawet najmniejszej szansy wdepnięcia na jezdnię. Tumany kurzu spadają mi na ubranie, oczy pieką, w zębach zgrzyta pył.

To nieprawdopodobne!... Na każdej ulicy świata nadchodzi taki moment, kiedy sznur wehikułów choćby na moment się kończy i moż-



Riksza, motor, taksówka, stoi,
mielbład i święta krowa.
Rower, autobus, ciężarówka.
Indyjska ulica to czyste
szaleństwo



na wtedy przebiec na drugą stronę. W Indiach przechodnie powinni mieć skrzydła.

Przejścia dla pieszych to czysta abstrakcja. Nawet wtedy, kiedy pali się zielone światło dla przechodniów, część kierowców po prostu jedzie dalej, tak jakby czerwone światło nie miało mocy, żeby ich zatrzymać.

Spojrzałam na zegarek. Minęło pół godziny odkąd usiłowałam przejść przez jezdnię. Nie posunęłam się w tym czasie nawet o milimetr, bo po prostu nie było takiej możliwości. Chyba że ryzykowałabym podeptanie przez nogi słonia, kopyta wielbłąda i świętej krowy, oraz znalezienie się pod oponami wszelkiej maści i rozmiarów, unoszących warcząco samochody, ciężarówki, autobusy, motory, rowery i riksze.

Jak ONI to robią?...

Przypomniałam sobie najważniejszą zasadę podróżowania: rób to, co robią tubylcy. Przecież ludzie w Indiach czasem mają potrzebę przejścia na drugą stronę ulicy, prawda?

Rozejrzałam się czy gdzieś w pobliżu nie stoi inny pieszy z zamiarem podobnym do mojego. Jest! Nieco dalej przy drzewie na krawężniku zatrzymał się chłopak w szaliku na głowie.

Już wcześniej zwróciłam na to uwagę. Dziwne, ale w New Delhi nikt nie używał czapek. Kiedy jest zimno, ludzie zawiązują sobie na głowach szaliki.

Ha! No jasne, że wszystkiego można się nauczyć od tubylca! Chłopak dość niedbale rozejrzał się w prawo i w lewo, a potem zdecydowanym krokiem wbiegł na jezdnię. Prosto pod rozpędzoną taksówkę, która na jego widok wcale nie zwolniła! Chłopak w ostatniej chwili zrobił unik biodrem, tak jakby uchylał się przed atakującym zwierzęciem, a po sekundzie o centymetry wyminął riksę, przepuścił ciężarówkę, wcisnął się w odrobinę wolnej przestrzeni między kolejnymi dwoma samochodami, potem przebiegł kilka kroków tuż za motorem i przed autobusem, znów stanął, podbiegł, uchylił się przed rowerzystą i prawie został przejechany przez okrągłego czarnego ambassadora².

Wyglądał jak torreador akrobata lawirujący między dziesiątkami rozjuszonych byków. Skoncentrowany, precyzyjny i świadomy tego, że najmniejszy błąd może go kosztować życie. Bo żaden z pojazdów znajdujących się na ulicy nie zwolnił na widok człowieka.

Pieszy na indyjskiej ulicy to ruchomy cel uciekający przed napastnikami. Wchodzi na jezdnię na własną odpowiedzialność. Nie ma przywilejów nawet na pasach, bo w tym pozornym chaosie istnieje jedno prawo obowiązujące wszystkich użytkowników drogi: większy i silniejszy ma zawsze pierwszeństwo.

² Ambassador, a właściwie – Hindustan Ambassador – marka samochodu produkowanego od 1958 r. w Indiach. Ma charakterystyczny nieco obły kształt, trochę przypominający polską syrenę.